



Ulice, domy, ludzie

dziewięta i ostatnia część wspomnień Macieja Paneckiego
o Bychawie lat trzydziestych XX wieku.

Ludzie, lata, losy

Podpatrywanie urzędników

Wracając myślą do lat dzieciństwa, pamiętam, że jako mały „konus” byłem bardzo ciekawy świata i ludzi. Wprawdzie bawiłem się z Anią na naszym podwórzu i często przychodziły do nas dzieci z sąsiedztwa, ale bardzo lubiłem wyskakiwać i poza podwórze, na „szeroki świat”, i podpatrywać, co też tam się dzieje. A to wpadałem do kancelarii gminnej do Tatusia po „niedługi snutek”, albo po 5 groszy na cukierki, a to przyglądałem się ulicy i przechodniom. W gminie obserwowałem pracę i zachowanie urzędników wobec interesantów, uwagę moją zwracali sekwestrowi, a oficjalnie poborcy podatkowi. Pamiętam zwłaszcza panów Nadgrodkiewicza i Lipeckiego. Pierwszy z nich był to średniego wzrostu, łysy, elegancki jegomość, z muszką pod brodą, wówczas pewnie 40-letni. Zakarbował się w mojej pamięci, bo sprezentował mi ładną szabelkę z paskiem z okazji urodzin czy imienin. Drugi – starszy już wówczas, w wieku ok. 60 lat, był niskim blondynem z ryżawą bródką, lekko pochyłą głową, a pogodnym zwykle wyrazie twarzy. Zarówno latem jak i zimą nosił zwykle ubrania w kolorze piaskowym, ale w przeciwieństwie do p. Nadgrodkiewicza nie był

arbitrem elegancji. Stale też chodził w wysłużonych butach z cholewami i luźnych, wpuszczanych w nie spodniach. Z panem Lipeckim wiąże się moje wspomnienie jako 2,5 letniego brzdąca, który zaabsorbowany ruchem interesantów i wszystkim, co działo się wokół niego, zapomniał o naturalnej potrzebie i... popuścił w majtki, właśnie w chwili, gdy p. Lipecki posadził mnie sobie na kolana. Moją sympatią był zwłaszcza inny sekwestrowi p. Czubaszek. Młody, wesoły, energiczny lublinian. Gdy zjawiał się w gminie, zaraz otaczała go gromada bychawskich Żydów, którzy usiłowali wytargować od „pana naczelnika”, jak go awansem tytułowali, jakąś ulgę czy prolongatę należnej płatności. A jak kapitałnie przy tym argumentowali! Ich gestykulacja i słownictwo, to prawdziwe perełki małomiasteczkowego folkloru. Zaklinali się na żonę i dzieci, które „niech nie mają, co zjeść, jeśli ja mam jakiś dochód”, albo: „panie naczelniku, do chodu to ja mam dwie nogi i to kiepskie”. Barwną i zwracającą uwagę postacią był towarzyski p. Złowodzki, inspektor PZU, który prowadził likwidację szkód po pożarach i określał wysokość odszkodowania, tzw. „fajerkasy” tj. obowiązkowego ubezpieczenia od ognia. W wieku ok. 60 lat, wzrostu

mniej niż średniego, ale pleczysty, łysy jak kolano, z jakimś wgłębieniem w czole, może po kuli lub po operacji, z bielmem na jednym oku i z tubalnym głosem, którym opowiadał żywo lubelskie ploteczki, sypał anegdotami i kawałami. Wypisz, wymaluj imię Zagłoba z Sienkiewiczowskiej Trylogii.

Maciej Panecki, Warszawa

Bezdroża, drogi, drogowcy

Gdy znudziłem się w gminie gapieniem się na ludzi i podsłuchiowaniem ich spraw, wybiegałem na uliczki Bychawy. Rozrywką był dla mnie, jako kilkuletniego chłopca, wyjazd w teren, gdzie zabierał mnie czasem Tatus. Służbowe wyjazdy sekretarza gminy dotyczyły głównie inwestycji takich jak budowa dróg, szkół, zbiorników p/pożarowych, ale także inspekcji czy uczestnictwa w uroczystości. Droga konną furmanką była dla mnie zawsze atrakcją. W 1924 r., gdy przeprowadziliśmy się z Piask do Bychawy, nie było w tej gminie żadnej drogi utwardzonej, z wyjątkiem głównej ulicy miasteczka wyłożonej wapieniem, ze złożony miejscowych. Wapień, nieodporny na działanie warunków atmosferycznych i ruch konnych furmanek, mających wtedy wyłącznie drewniane koła z żelaznymi obręczami, odkształcał się

i kruszył, i po krótkim czasie jazda furmanką po tym zbiorowisku kraterów była ostrą próbą i dla wozu, i dla pasażerów. Ale 10 lat potem, gdy opuszczaliśmy Bychawę, miała ona już dwa utwardzone połączenia z Lublinem, jedno przez Strzyżewice, Niedrzwicę, Konopnice, drugie przez Bychawkę i Dąbrowę, a poza tym szosę do Gałęzowa, i ulicę Turobińską wybrukowaną odpornym na obciążenia transportowe piaskowcem wydobywanym pod Piotrkowem, (wg miejscowej gwary „Pieczkowem”).

Po 123 latach niewoli usiłowano z powodzeniem nadrobić zaniedbania w budownictwie dróg, jak i ogólnym. Powstała więc sieć szkół technicznych kształcących specjalistów - w Lublinie była to Szkoła Budownictwa, mieszcząca się w okazałym, nowoczesnym gmachu na rogu Alej Racławickich i alei Długosza. Absolwenci szkoły, cieszącej się dobrą renomą, rozchwytywani byli „na pniu” przez samorządowe Wydziały Powiatowe zobowiązane do pomocy gminom przy realizacji inwestycji budowy dróg, mostów i szkół. Rola gminy polegała na zgłaszaniu i uzasadnianiu potrzeby takich inwestycji, a także na częściowym czy całkowitym sfinansowaniu jej realizacji.

Czy ktoś z młodych wie dziś, co znaczyło słowo szarwark?

W niemieckim „Scharwerk” oznacza gromadną pracę (Die Schar – gromada, das Werk – praca, dzieło), a określało w tamtych czasach ustawy obowiązek każdego posiadacza gruntów do pracy na rzecz społeczności gminnej, którą mógł też zastąpić równoważną kwotą



Figurka znajdująca się obecnie w kościele bychawskim.

Nepomucenie, pomóż!

Kapliczka z 1-szej połowy XVIII w. w Bychawie – Podzamczu wraz z wydzieloną działką, stała się własnością Gminy Bychawa i formalnym zabytkiem.

Wszyscy cenimy i kochamy zabytki. Ale paradoksalnie, jeśli ich właścicielem są władze lokalne, przysparzają im nie lada kłopotów. Tak właśnie ma się sprawa z przydrożną kapliczką Św. Jana Nepomucena. Stoi sobie (dobrze, że stoi) przy skrzyżowaniu ulic Zamkowej i Pileckiego, w obrębie dawnych zabudowań dworskich i założenia pałacowego, w bezpośrednim związku przestrzennym i historycznym z całym zabytkowym kompleksem Podzamcza. A stoi tak, bagatel! od połowy XVIII wieku. Dominik Stoiński, od

1725 r. właściciel dóbr Podzamcze postawił kapliczkę przy nowej drodze łączącej miasto z tzw. „traktem warszawskim”. Z figurki umieszczonej wewnątrz spoglądał życzliwie i błogosławił wszelkim wędrowcom św. Jan Nepomucen. Zbliżoną stylem kapliczkę, też z tego okresu, można także oglądać w Mełgwi – Podzamczu, który to majątek również należał do Stoińskich.

Zacytujmy pismo Lubelskiego Konserwatora Zabytków w Lublinie uzasadniające walory kapliczki w Podzamczu:

„Forma opracowania bryły, zachowane historyczne proporcje, wysokie wartości artystyczne i warsztatowe pozwalają zaliczyć kapliczkę do grupy najcenniejszych zabytków „małej architektury” na Lubelszczyźnie. Stanowi ona także materialne świadectwo dawnej świetności historycznego założenia pałacowego w Bychawie – Podzamczu i jest jednym z najlepiej zachowanych jego elementów.

I jeszcze kilka szczegółów:

„...Kapliczka murowana z cegły na rzucie zbliżonym do trójkąta o dwóch bokach wklęsłych i trzecim lekko wybrzuszonym posiada cechy architektury barokowej, które prezentuje m.in. poprzez gierowane naroża ujęte pilastrami tokańskimi, sploty wolutowe flankujące silnie wyeksponowane naroża cokołu, uskokowe gzymsy.”

Kilkanaście lat temu z kapliczki w Podzamczu przeniesiono drewnianą figurkę do miejscowego kościoła w obawie przed kradzieżą. I rzeczywiście w niewielkim zagłębieniu lewej ściany stoi figurka z drewna, z podpisem: św. Jan. Jednakże różni się znacznie od tej z kapliczki (popatrz zdjęcie). Coś w niej dodano, coś z niej ujęto, więc nie całkiem przypomina tę pamiętaną sprzed lat. Zamiast biretu na głowie świętego bujny porost, w prawej ręce brak podstawowego atrybutu – palmy, ale nadal ubrany jest w strój kapłański – sutanę i sfaldowaną dołem komżę, lewą ręką podtrzymuje Dzieciątko Jezus – to już całkiem współczesna modyfikacja wizerunku. Można

jeszcze wskazać kilka innych wyraźnych różnic, stąd wątpliwość: czy figurka w kościele, jest tą z Podzamcza, czy może inną? Pytań rodzi się więcej, zważywszy, że i kapliczka przy ul. Partyzantów, późniejsza, bo z poł. XIX w. też kiedyś była z figurką Jana Nepomucena. Pytania pozostają otwarte, może doczekają się odpowiedzi, lecz w chwili oddania „Głosu” do druku dotarcie do pewnych dokumentów nie było możliwe. Prawdopodobnie, że w miarę niszczącego upływu czasu, „upiększono” Świętego z kapliczki, wedle różnych gustów i bez liczenia się z oryginałem oraz tradycją i stylistyką ikonograficzną. I tylko ekspert ikonolog mógłby dziś orzec stopień wierności z oryginałem.

Kim był Św. Jan Nepomucen (w czeskim Nepomuk)? Żył w drugiej połowie XIV w. w Czechach, był kapitanem. Awansując w hierarchii duchownej doszedł zaszczytu wikariusza generalnego metropolity w Pradze. Aresztowany i torturowany z rozkazu Karola IV, władcy niechętnego katolikom, zginął śmiercią męczeńską. 20 marca 1393 r. skatowanego kapłana zrzucono z mostu do Wełtawy (Polacy mają tu odpowiednie skojarzenia!). Istnieje też wersja, że bezpośrednią przyczyną śmierci było nieugięte zachowanie Jana Nepomucena (Nepomuka) jako spowiednika królowej, której grzechów, mimo gróźb jej małżonka-króla, nie wyjawiał. Stąd w ikonografii z tamtych czasów przedstawiano go z dłońmi przy ustach, na znak zachowania tajemnicy spowiedzi. Czescy katolicy uważają go za patrona Czech. Kult świętego rozszerzył się w Polsce, i nie tylko, od XVII w., czczono w Jego osobie orędownika powodzi, patrona mostów i męczennika za Sakrament Pokuty.

Decyzję o wpisie do rejestru zabytków poprzedziły trwające kilka lat skomplikowane, choć niezbędne regulacje prawne dotyczące własności działki, na której stoi kapliczka, a nad którą (działką) zarząd w imieniu skarbu państwa sprawował dotąd Starosta Powiatu Lubelskiego. Po wydzieleniu działki prze-

kazano ją następnie w formie darowizny na rzecz Gminy Bychawa, co zostało umocowane aktem notarialnym z dn. 30 września 2004 r.

Mamy więc od tej pory w Bychawie jeden obiekt więcej zaliczany do dóbr kultury minionej, zabytek, ale też nowy problem. Godne uznania, że władze samorządowe wraz z Burmistrzem Bychawy odważnie podjęły to nowe i ambitne wyzwanie, ze świadomością, że skutkiem wpisu do rejestru zabytków jest obowiązek opieki, konserwacji itp. ze strony właściciela. A tu rzeczywistość skrzeczy. Wiadomo nie od dziś, jaka jest kondycja finansowa gminy.

Pozostają więc prośby do świętego? Może natchnie, wymodli, podszeptnie? Natchnie sponsora(-ów), podszeptnie władzy rozwiązanej, uruchomi społeczną inicjatywę?

Marzenia nie kosztują, a czasem się spełniają, więc pomarzymy, że w kosztach renowacji zabytku partycypują różne bychawskie instytucje, organizacje, darczyńcy, może kwestujący na ulicy? I że kapliczka odzyska swój starodawny blask.

Figurka św. Jana Nepomucena z kapliczki w Podzamczu, fot. z 1989 r.



Ludzie, lata, losy



Jedno z moich ostatnich zdjęć, zrobione na lubelskim dworcu kolejowym po powrocie z wyprawy do Lwowa, skąd pochodzi moja Żona.

Serdecznie pozdrawiam i życzę najlepsze życzenia na cały 2005 Nowy Rok M. Panecki

W późniejszym okresie naszego pobytu w Bychawie Tatusz zrezygnował z usług gałęziowiańskiego i zaangażował do prac polowych miejscowego „tyka” Henryka Asyngiera. Naszym dziecięcym serwitutem było jeżdżenie z nim po siano na łąkę i w czasie jednej z takich jazd poczuliliśmy nagle, że koła wozu podskoczyły na czymś twardym. Jak się okazało, był to żółw, któremu ciężki, załadowany przymą siana wóz, nie wyrządził najmniejszej szkody.

Śłużąca – intratne zajęcie

Ówczesne warunki życia i stosunki społeczno-ekonomiczne wytworzyły kategorię najemnych pracowników zwanych służącymi. Każda, albo prawie każda średniozamożna, nie mówiąc oczywiście o bogaczach, rodzina inteligentka, zatrudniała służącą pomagającą pani domu w prowadzeniu gospodarstwa domowego, wychowywaniu dzieci, zakupach itp. Od urodzenia stykałem się w domu rodzicielskim ze służącymi, z których pierwszą była Antoniowa. W czasie naszego 11-letniego pobytu w Bychawie przewinęło się chyba 10 służących, z których dwie porzuciły swoje zamożne rodziny, buntując się przeciw narzucanej im przez nie apodyktycznie woli. Jedną z nich była śliczna Franka Niedźwiedziówna z Pietrzkowa, a drugą Niemka Fryda z Kolonii Borkowicza koło Niedzwicy, zamieszkałej w większości przez kolonistów niemieckich. Fryda była także ładną dziewczyną, z zadartym nosem, który jej jednak nie tylko nie szpecił, ale dodawał pewnego uroku. Bardzo miła, dobrze zorganizowana, czysta, pracowita i mówiła po polsku bardzo sympatycznie z charakterystycznym zaśpiewem, mając przy tym bardzo miłe brzmienie głosu. Lubiliśmy ją wszyscy, a Mamusia uważała, że była jedną z najlepszych „pomocy”, z jaką się w ogóle zetknęła. Inną ze służących była elegancka „kapeluszoza” Bronka, była też Hela, córka handlarza bydłem, czarnobrewa, miła, łagodna dziewczyna. A przez pewien czas służyła u nas młoda kobieta, która pewnego razu, w dzień targowy, przyprowadziła młodego człowieka, przedstawiając go jako swojego brata. Panował wtedy zwyczaj, że odwiedzający służącą członkowie jej rodziny byli gościnnie przyjmowani, karmieni, bawieni rozmową, jednym słowem traktowani jak miłe widziani goście. Tak samo postąpiono z tym, jak się później okazało, rzekomym bratem, który zasiedziawszy się poprosił, przez „siostrę” o nocleg, na co otrzymał oczywiście przyzwolenie. Już po krótkim czasie wszystkowiedząca Żydówka Fela przyniosła Mamusi zaskakującą wiadomość, że człowiek ten nie był żadnym bratem dziewczyny, lecz przypadkowo spotkany na jarmarku jego-

Rodzina Paneckich w roku 1942 w Brzezinach k/Łęcznej. Od lewej: Anna (siostra) – po wojnie lekarz-chirurg, profesor Akademii Medycznej w Lublinie, Mama Maria, Ja – Maciej, Ojciec Józef i na dole pupilek rodziny, czworonozny „Waksik”



mościem. Została oczywiście bezpośrednio po tym wyrzucona z hukiem i trzaskiem, trącąc niezłe, jak sądzę, miejsce pracy.

Jakie było wówczas wynagrodzenie służących na prowincji, a także jakie były ich warunki pracy? Dziewczyna ze wsi, która co najwyżej umiała wydoić krowę, nakarmić chudobę i ugotować kartofle, dostawała pełne utrzymanie, zakwaterowanie i gotówką 10 zł miesięcznie. Zwiększając swoje kwalifikacje przez opanowanie umiejętności kulinarnych dostawała już 15 zł, nawet 20 zł. Dla porównania – 1 kg mięsa cielęcego, które wtedy miało najniższą cenę, kosztował 60 gr, a 1 kg kiełbasy 1,2 zł. Pantofle można było kupić już za 3-4 zł, a para jajek kosztowała 5 groszy, podobnie jak bułka. Służąc przez rok taka dziewczyna mogła więc oszczędzić nawet 150 zł, a biorąc pod uwagę, że zawsze dostawała nieodpłatnie jakieś przenoszone, ale w dobrym stanie, części garderoby, buty itp., co zaspokajało na ogół jej potrzeby w tym zakresie, to praktycznie pieniądze mogła nie wydawać wcale. Kwota 150 zł oznaczała możliwość kupna na wsi morgi gruntu, czyli 0,56 ha, lub krowy, co mogło już stanowić wiano dla młodej kandydatki do stanu małżeńskiego. Po trzech latach służby mogły to już być 2 morgi ziemi i krowa, i jeżeli oblubieniec także wnosił morgę, lub dwie morgi, to pojawiała się podstawa do założenia rodziny.

W czasie całego naszego pobytu w Bychawie w latach 1924-1935 nie wyjeżdżaliśmy nigdy poza granice miasteczka na dłuższy czas w celach wypoczynkowo-rekreacyjnych. Wyjazdy takie były wówczas bardzo kosztowne i mało kto ze środowiska małomiasteczkowego mógł sobie na to pozwolić. Poza tym Tatusz nigdy w okresie przedwojennym nie korzystał z przysługującego mu urlopu, bo autentycznie zaangażowany w pracę, a właściwie w służbę, przykuwało go do gminy i nie wyobrażał sobie pozostawienia swojego posterunku bez opieki na dłuższy okres czasu. Dwukrotnie wraz z siostrą Anią byłem u dziadków Paneckich w Kurowie, w którym posiadali wspólnie ze strykiem Bolkiem, spory, istniejący do dzisiaj (1999 rok), choć sprzedany już w obce ręce, obszerny dom na ulicy Bartosza Głowackiego. Dom składał się z 5 izb, trzech dużych pokoi, dużej kuchni i mniejszego pomieszczenia typu służbówki.

Ogólnie dzieciństwo i młodość spędzone w domu rodzinnym wspominam jak idyllę. Panowała wśród nas wszystkich czworga głęboka więź uczuciowa. Rodzice byli dla nas absolutnymi autorytetami moralnymi, dawali nam najlepszy przykład zgodnego współżycia, rzetelnej, sumiennej pracy, odpowiedzialności i patriotyzmu. Nie znaczy to wcale, że nie było między nami różnic, poglądów, sporów, a nawet, zwłaszcza między mną i Anią, krótkotrwałych kłótni. Mijało to jednak szybko, nie zostawiając żadnych trwałych śladów i nie rzutując na wzajemne najlepsze stosunki. Nie mając własnej rodziny, Siostra utożsamiała się z moją rodziną, bardzo polubiła się z moją żoną Danusią, a nasze dzieci – Aneczkę i Stasia – traktowała jak własne, aczkolwiek, gdy dorosły, nie oszczędziły i Jej i nam wielu rozczarowań. Sytuowana materialnie znacznie lepiej od nas pomagała nam już od lat 50-tych, a po śmierci Mamusi w 1978 roku pomoc tę bardziej nasiliła, co pozwoliło nam, utrzymując się z jednej pensyjki, przetrwać tamte trudne lata, nie obniżając znacząco poziomu życia.

Żegnaj, Bychawo!

Było piękne, letnie, późne popołudnie w dniu 4. lipca 1935 roku, gdy będąc akurat na rynku, usłyszałem turkot licznej kawalkady konskich furmanek. Patrząc w kierunku, z którego dochodził ten odgłos, spostrzegłem, że na pierwszym drabiniastym wozie kawalkady siedzi obok furmana Tatusz w swoim szarym prochowcu. Kawalkada z fasonem zajeżdżała pod bramę gminy i wszystkie 10 furmanek jakoś upchały się na podwórzu. Od razu zaczęło się gorączkowe pakowanie, a część najcięższych sprzętów zaczęto w pierwszej kolejności ładować na wozy, przy czym najwięcej problemów dostarczyło upakowanie wielkiego fortepianu na wóz absolutnie nie przystosowany



Rok 1954 Warszawa, Stare Miasto. Na zdjęciu Żona Danuta, Panecki Senior, Panecki Junior i Mała Maria Agnieszka.

do transportowania takiego kolosa. Pościel, naczynia, bieliznę ładowano do drewnianych skrzynek zabijanych gwoździem, podobnie postąpiono z książkami, sztucami itp. Dużą dębową szafę i bielizniarkę rozłożył zgrabnie na „czynniki pierwsze” przybyły z ekipą „majsterka” z Brzezina Felek Chruścik. Do późnych godzin nocnych ogromna większość naszego dobytku znalazła się na podstawionych furmankach. Niestety o północy zaczął padać deszcz. Ratując dobytek przed zmoczeniem przykrywano go czym się dało, jakimiś płachtami, workami, słomą, a fortepian wielką plandeką, która nie używana leżała już od lat w jakiejś komórcie, czy na strychu. Nie uratowano jednak, niestety, wielu rzeczy od uszkodzenia i zamokły fornir na fortepianie w kilku miejscach się pofałdował, a bielizna pościelowa, rozpakowana po przybyciu do Brzezina częściowo spleśniała.

Rodzice i Ania mieli udać się do Brzezina autobusami via Lublin i Łęczną, a ja ze służącą Kasią mieliśmy jechać „rzemiennym dyszlem”. Jechaliśmy z Bychawy przez Osowę, Pietrzków (Piotrków), Chmiel, Kozice, Piaski, Brzezice, Łysolaje, Milejów, Łańcuchów i Ciechanki. W Piaskach zrobiliśmy dłuższy postój, w czasie którego „złożyłem wizytę” zaprzyjaźnionej z Rodzicami, z czasów Ich pobytu tam w latach 1919-1924, rodzinie kierownika tamtejszej szkoły powszechnej, wspomnianego już p. Kotlińskiego. Po mniej więcej 10 godzinach jazdy, przy ładnej już pogodzie dobiliśmy szczęśliwie do Brzezina, które miały być naszym miejscem pobytu przez następne okrągłe 10 lat.

Tak oto upłynęło 11 lat mojego życia, które rozpocząłem w miasteczku Bychawa na Lubelszczyźnie, gdzie stawiałem swe pierwsze kroki, rozglądając się ciekawskim wzrokiem dziecka po świecie, pod czułą i mądrą opieką kochających Rodziców.

KONIEC

Serdeczne podziękowania dla Autora wspomnień Pana Macieja Paneckiego – od starszych czytelników za możliwość sentymentalnego powrotu w czasy dzieciństwa, od młodszych za zdumiewające odkrycie ciekawej przeszłości swego miasteczka wraz z jego minionym i niepowtarzalnym kolorytem, od wszystkich za żywy, barwny i cenny dokument historii naszej wspólnej małej Ojczyzny – Bychawy.

Życzymy Panu najserdeczniej, w imieniu Czytelników, Redakcji i Bychawskiego Towarzystwa Regionalnego zdrowia oraz wielu, wielu dobrych i szczęśliwych dni i lat życia.